

Tematy tygodnia

- 12 Rozmowa z **Bernardem-Henri Lévym**, francuskim filozofem i pisarzem, o tym, że demokracja w Europie jeszcze się broni
- 15 Grzegorz Rzeczkowski **Po co Jarosławowi Kaczyńskiemu tyle pomników brata**

Polityka

- 18 Malwina Dziedzic **Czy lewica się pozbiera**
- 21 Ewa Siedlecka **Jak zgodnie z prawem rozliczyć PiS**
- 24 Rozmowa z **Krzysztofem Mazurem**, szefem prawicowego think tanku – Klubu Jagiellońskiego, o pomysłach władzy
- 28 Jędrzej Winiecki **Konsulowie honorowi – pożyteczni, choć czasem kłopotliwi**
- 30 Paweł Machcewicz **OGLĄD I POGLĄD Dom Historii Europejskiej: od mitu do Brexitu**

Społeczeństwo

- 32 Rozmowa z **gen. Mieczysławem Cieniuchem**, byłym szefem Sztabu Generalnego, o wielkiej zapaści w polskiej armii
- 35 Marta Sapala **Moda na brzydkie warzywa!**
- 38 Piotr Pytlakowski **Postrzelony na planie filmowym**

Rynek

- 40 Adam Grzeszak **Rządowa bajka o rozwoju**
- 44 Joanna Solska **Fatalne skutki ustawy o ziemi**

Świat

- 47 Sławomir Sierakowski **OGLĄD I POGLĄD Populizm oświecony**
- 50 Tomasz Zalewski **USA-ROSJA Kreml-gate?**
- 52 Łukasz Wójcik **IRAN Wyborczy spektakl**



12

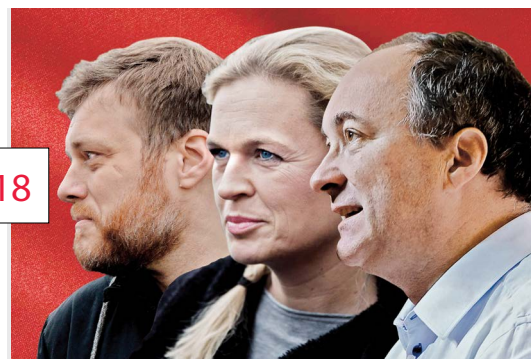
47

Jest lekarstwo na populizm



15

Pisowska ofensywa spiszowo-granitowa



18

Trzy lewe nogi



32

O psuciu polskiej armii

Historia

- 54 Rozmowa z **prof. Eugeniuszem Cezarym Królem**, przygotowującym krytyczne wydanie „Mein Kampf”
- 58 Wiesław Władyka **Werblan i Modzelewski: niezwykła rozmowa o PRL**

Nauka

- 60 Przemek Berg **Fascynujący Enceladus**
- 62 Paweł Walewski **Atak chłoniaka**
- 64 Michał Koralewski **Filmy POLITYKI na Copernicus Festival**

Kultura

- 70 Aneta Kyzioł **Powrót do „Miasteczka Twin Peaks”**
- 74 Piotr Sarzyński **Sztuka afektu**
- 78 Justyna Sobolewska **Książka potrzebuje redaktora**
- 81 KAWIARNIA LITERACKA **Mikołaj Łoziński**
- 82 Bartosz Nowicki **Punkowcy z afrykańskiego Malawi**
- 85 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**

Ludzie i style

- 86 Rozmowa z norweskim podróżnikiem i myślicielem **Erlingiem Kaggem**, autorem głośnej książki „Cisza”
- 90 Marcin Piątek **Legends Giro d'Italia**
- 92 Barbara Adamczewska **ZA STOŁEM Smaki z podróży**

Na własne oczy

- 100 Tekst i fotografie Filip Černý **Meksyk – ostatni przystanek uchodźców przed USA**

Stałe rubryki

- 4 Mleczko i Mizerski
- 6 Ludzie i wydarzenia
- 66 Afisz • 94 Passent
- 96 Hartman • 97 Tym
- 98 Do i od redakcji
- 99 Fusy, plusy i minusy
- 106 Polityka i obyczaje



SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Żeby się prezes nie zdziwił

Od pewnego czasu Polacy mają dwóch prezydentów (jednego w realu, drugiego w serialu „Ucho prezesa”) i trudno powiedzieć, który jest bardziej zabawny. Prezydent Andrzej Duda bardzo stara się zaprezentować jako ktoś poważny, ale wielu traktuje go jako postać kabaretową, z kolei prezydent Adrian jest postacią kabaretową, ale polskie media odnoszą się do niej poważnie i nieustannie porównują ją do postaci Dudy. Panuje opinia, że stworzony przez scenarzystów Adrian jest prawdziwszy i bardziej naturalny od zaproponowanego nam przez prezesa PiS Andrzeja, który razi sztucznością i przypomina postać z filmu. Obaj nie istnieli, dopóki nie zostali wymyśleni, z tym że na tle Adriana Andrzej ze swoją gestykulacją i marnymi tekstami sprawia wrażenie wymyślonemu na kolanie. Widać, że jest projektem niedopracowanym i nie do końca przemyślanym, być może dlatego, że w zamyśle jego twórcy nigdy nie miał zostać zrealizowany. Trzeba jednak powiedzieć, że Andrzej ma swoje zalety, np. w opinii wielu Polaków czasem bywa od Adriana śmieszniejszy (zwłaszcza gdy mówi o potrzebie pojednania albo że będzie stał na straży konstytucji). Istnienie Adriana irytuje Andrzeja, dlatego w wywiadach bagatelizuje on postać Adriana, twierdząc, że jej nie zna. Z tym



że moim zdaniem to Adrian jest osobowością silniejszą, mówi się, że Andrzej pozostaje pod wpływem Adriana i że tylko istnienie Adriana mobilizuje go do podejmowania samodzielnych, z nikim niekonsultowanych działań. Podobno pod presją Adriana Andrzej myśli nawet o odgrywaniu podmiotowej roli na scenie politycznej, chociaż wszyscy wiemy, jak trudne i ryzykowne jest dla niego takie myślenie.

Nasza sympatia jest po stronie Adriana, który ma gorzej niż Andrzej, bo nie spędza czasu na tweetowaniu z nastolatkami czy uczestniczeniu w galach, tylko musi przesiadywać w poczekalni gabinetu prezesa, który przez 14 odcinków nie chce go widzieć (co jest trochę niesprawiedliwe, bo Andrzejowi prezes czasem jednak pozwala przyjechać do siebie do domu, żeby mu coś podpisał). Nic dziwnego, że dalszymi losami prezydentury Adriana jesteśmy zainteresowani bardziej niż dalszymi losami prezydentury Andrzeja. Ciekawi nas, czy w kolejnych odcinkach Adrianowi uda się spotkać z prezesem i co z tego wyniknie. To, co robi Andrzej Duda, szczególnie nas nie ciekawi, ale moim zdaniem nie powinniśmy go zupełnie skreślać, bo być może ewentualne sukcesy Adriana w następnej serii „Ucha prezesa” zmobilizują go tak, że zdziwimy się nie tylko my, ale i prezes.

**DRUGA
EDYCJA**



Prowadzisz małą firmę, sklep, restaurację, a może świadczysz drobne usługi?

Dołącz do naszej akcji!

Odbierz swój pakiet promocyjny w dowolnej placówce BGŻ BNP Paribas, przyklej naklejkę z logo akcji na drzwi i przygotuj specjalną ofertę dla swoich klientów na **Tydzień Sąsiedzkiego Biznesu**, który odbędzie się w dniach **29.05-2.06.2017**.

Akcja prowadzona w radiu, prasie i internecie na ogólnopolską skalę będzie zachęcać do robienia zakupów w najbliższej okolicy i korzystania z usług lokalnych firm, takich jak Twoja.

Razem zadbajmy o to, by lokalny biznes się rozwijał.



Dowiedz się więcej na **sasiedzkibiznes.pl**.

#WspierajmySasiedzkiBiznes

[Kup książkę](#)

Taka taktyka



Jerzy Baczyński

Pytanie, jak w przyszłości rozliczyć PiS, jakie wobec nadużyć tej ekipy zastosować prawo i jaką wymierzyć sprawiedliwość, wydaje się, na ponad dwa lata przed wyborami, czysto teoretyczne i przedwczesne. Ale sens tego pytania mniej dotyczy przyszłości niż teraźniejszości. Rzecz w tym, aby ludzie władzy już dziś zdawali sobie sprawę, że „spisane będą czyny i rozmowy”, że łamiąc prawo, narażają się w przyszłości na odpowiedzialność, nie tylko polityczną i honorową, ale też urzędniczą, być może karną i finansową; w najlepszym dla nich przypadku zapłacą stanowiskami. Ewa Siedlecka (s. 21) zauważa, że w naszej tradycji politycznej nie było obyczaju sądowego ścigania poprzedników, że kampanijne pogrozki na ogół kończyły się niczym. Nawet ewidentne, zdawałoby się, ekscesy pierwszego rządu PiS pozostały bez rozliczenia. Ale teraz może być inaczej, bo PiS nie tylko coraz jawniej przekracza, nagina lub łamie prawo, ale też tworzy w tym celu różne nadzwyczajne procedury, skracając kadencje, odmawia zaprzysiężenia, rozwiązuje instytucje, odbiera wstecz emerytury, powołuje speckomisje, nie publikuje orzeczeń – słowem, szykuje narzędzia, które w przyszłości mogą być łatwo użyte przeciw niemu. Demontując niewygodne dziś dla siebie ograniczniki władzy państwowej, PiS pozbawia także własną ekipę ochrony. Prawdopodobnie zakładając, że „oni” nigdy nie posuną się tak daleko jak my.

Dotychczas to założenie zwykle się sprawdzało. Zasada, że „nie można sięgać po metody i język PiS”, należy do aksjologii polskich demokratów. Ten sam kłopot i to samo skrępowanie mają wszystkie tradycyjne formacje polityczne zachodniego świata, borykające się na swoim terenie z własnymi ugrupowaniami populistów i radykałów. Jak odpowiadać na mowę agresji i bezpodstawnych oskarżeń czy jawnych kłamstw? Czy racjonalność i odpowiedzialność są jeszcze w polityce atutem czy już tylko obciążeniem? Czy i jakimi metodami można ograniczyć negatywne skutki globalizacji i wędrowności ludów? Mówi się, że w tych krajach, gdzie udało się „powstrzymać pochód populizmu”, tak jak ostatnio we Francji, stało się tak dzięki „populizacji” centrum, przechwyceniu przez polityków głównego nurtu wielu diagnoz, emocji, wyrażań, argumentów używanych przez ugrupowania „antysystemowe”. Jak pisze Sławomir Sierakowski (s. 47), na groźny nawrót nacjonalizmów odpowiedzią staje się „populizm oświecony” à la Macron. Faktycznie, nowy prezydent Francji wykazał dużą sprawność, opakowując dość tradycyjny zestaw republikańskich i europejskich

wartości w retoryczne sreberka. W Polsce taką próbę „macronizacji” przeprowadziła ostatnio Platforma Obywatelska.

Powiedzmy od razu, że technicznie próba była niezbyt udana. W ogóle nie wiadomo, dlaczego PO zgodziła się nagle odpowiadać na zadane przez PiS pytania o to, czy zamierza utrzymać (gdyby kiedykolwiek wygrała wybory) 500 plus, obniżony wiek emerytalny, zwłaszcza zasadę nieprzyjmowania uchodźców? PO mogła zadać PiS swoje dokuczliwe pytania (np. o MON, referendum edukacyjne, TVP czy sądownictwo) albo chociaż upierać się przy debacie ekspertów. Wyszło głupio, bo Platforma, jakby pod przymusem, potwierdziła, że nie narusza filarów „populistycznej” polityki PiS. Dostało się za to PO okropnie od antypisowskich demokratów. Właściwie nikt chyba publicznie nie bronił kierownictwa partii. Schetyna i koledzy zostali oskarżeni o tandenciarstwo i hipokryzję, bezsensowne kokietowanie wyborców PiS. Wiadomo, że PO, dokonując aktu częściowej pisyżacji, miała, w intencji, odebrać retoryczną broń używaną do stałego ostrzału własnych pozycji. Ale jednocześnie był to, zgoda, publiczny dowód triumfu taktyki nad strategią. PO pozwoliła się domyślać, co sądzi o polskich wyborcach, a nawet o własnym elektoracie i o samej sobie. Partia nie wierzy w to, że miałaby siłę i energię, aby pójść pod prąd obecnym sondażom i emocjom, narzucić jakieś własne priorytety, przekonania. PO względem PiS cofa się znacznie dalej niż Macron w starciu z Le Pen. Taktycznie przyjęcie postawy defensywnej i liczenie na błędy przeciwnika może być słuszne, może nawet ułatwić najbliższe wyborcze zwycięstwo i rozliczenie PiS. Ale, ku rozczarowaniu zwłaszcza lewicowych środowisk, nie neutralizuje ryzyka recydywy pisopodobnej formacji.

Profesor Wiktor Osiatyński, którego z wielkim poczuciem straty właśnie pożegnaliśmy, w książce wydanej jeszcze w 2004 r., a więc przed pierwszymi rządami PiS i u progu naszego wejścia do Unii („Rzeczpospolita obywateli”), przepowiadał, że ze względu na brak tradycji demokratycznych i zakorzenionej kultury prawnej oraz błędy i zaniechania transformacji, grozi nam „autorytarna demokracja”, przejęcie państwa jako łupu przez „cwaniaków lub psychopatów”, powołujących się na „mandat wyborczy i wolę ludu”. Wiktor uważał, że przed takim scenariuszem możemy obronić się tylko sami jako społeczeństwo, „wspólnota ludzi połączonych więziami instytucji, organizacji, ideałów i postaw”. Że nie powinniśmy nazbyt wiele oczekiwać od partii i polityków. To nie była szlachetna naiwność, raczej przeciwieństwo – gorzki realizm. Prof. Osiatyński pisał, jak tworzyć organizacje monitorujące działania władzy, biura pomocy prawnej dla obywateli, jak wygnać partie z samorządów terytorialnych, tworzyć etyczne kodeksy zawodowe, wzywał „niezależny polski biznes” do wspierania akcji i organizacji społecznych. Na pogrzebie Wiktora, wśród setek zgromadzonych, nie było żadnych przedstawicieli obecnej władzy. To, jak wszystko, co małe i paskudne w tej partii, całkowicie zrozumiałe. Ale byli przedstawiciele partii, która u zarania nazwała się Platformą Obywatelską. Dobrze, żeby przypomnieli sobie, po co się tak nazwali. Bo taktyka polityczna jest ważna i nie może być ignorowana, ale prawdziwe zwycięstwo nad PiS musi być zakorzenione w postawach, przekonaniach i czynach większości obywateli. Wypełnianie testamentu Osiatyńskiego byłoby największą karą dla PiS.

Jan Koza



© JAN KOZA



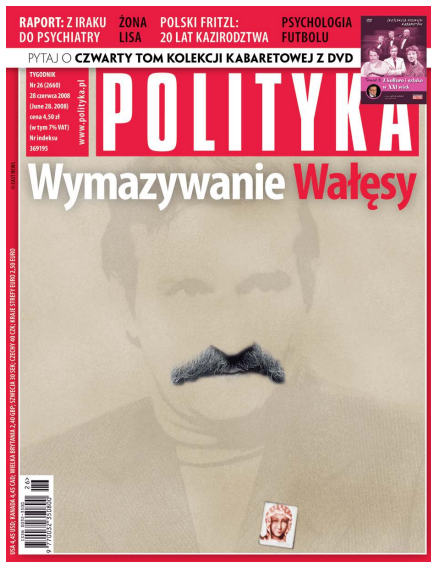
Okladka 15-lecia

Okladka POLITYKI (nr 26 z 2008 r.) z hasłem „Wymazywanie Wałęsy”, autorstwa Marka Kwiatkowskiego, otrzymała tytuł najlepszej okładki prasowej XV-lecia w konkursie organizowanym przez Izbę Wydawców Prasy.

Jubileuszowa Nagroda GrandFront została przyznana dla najlepszej okładki tytułów wydawanych w Polsce w ostatnich 15 latach. Konkurs GrandFront to najbardziej prestiżowe polskie wyróżnienie dla twórców grafiki prasowej. Zwycięski projekt wybrały redakcje prasowe w głosowaniu spośród tych, które otrzymały nagrodę GrandFront w poprzednich edycjach Konkursu. Każda redakcja dysponowała jednym głosem. Ogłoszenie wyników odbyło się w poniedziałek podczas uroczystej Gali w Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie.

Okladka naszego redakcyjnego kolegi w 2009 r. otrzymała nagrodę główną w Kategorii Czasopism. W tym samym roku zdobyła również pierwsze miejsce i nagrodę ArtFront w Kategorii Czasopism Opinii.

– Ta okładka POLITYKI jest szczególna, wychodzi poza ramy dobrej okładki magazynu. To w tej chwili, z perspektywy czasu, już symbol tamtych lat. Jest bardzo plakatuwa, używając oszczędnych środków wyrazu, działa jak ikona, z ogromnym ładunkiem emocjonalnym. „Wymazywanie Wałęsy” ma dużą szansę pozostać ponadczasowym śladem, który będzie w jakimś sensie ilustrował polską transformację i jednocześnie historię polskiej prasy – powiedział o zwycięskiej okładce Jacek Utko, zdobywca wielu prestiżowych



międzynarodowych nagród i członek Jury Konkursu GrandFront.

Okladka zapowiadała tekst Janiny Paradowskiej „Wymazać Wałęsę” (czerwiec 2008 r.), w którym publicystka komentowała publiczną dyskusję, jaką wywołała książka

dwóch historyków związanych z IPN Sławomira Cenckiewicz i Piotra Gontarczyka „SB a Lech Wałęsa. Przyczynek do biografii”. Paradowska pisała wówczas: „Po tej dyskusji to on będzie ostatecznie zwycięzcą, bo nie da się Lecha Wałęsy wymazać, »wygumkować« z historii Polski i zastąpić braćmi Kaczyńskimi. A o tym, że był twardy, uparty i niezłomny, mówią już nawet jego przeciwnicy. Lech Wałęsa jest już mitem, a z mitami trudno wygrać”.

– Człowieka można wymazywać, a symbole i legenda zostają, bo tych wytrzeć się nie da – mówi Marek Kwiatkowski, autor projektu, dodając, że zaskakująco, temat wciąż jest aktualny, tak jak żywa jest wciąż legenda i symbol Wałęsy i ataki na niego: – Ta okładka to nie mem, który po kilku tygodniach nie jest już rozumiany. Myślę, że będzie aktualna jeszcze za kolejne 15 lat. Inna okładka Marka Kwiatkowskiego (POLITYKA 24/16) ilustrująca artykuł o relacjach Jarosława Kaczyńskiego z narodowcami zwyciężyła w kategorii „Polityka, ekonomia, społeczeństwo”.

Marek Kwiatkowski jest grafikiem z 30-letnim doświadczeniem. Przez 13 lat pracował na Akademii Sztuk Pięknych, w tym jako adiunkt w pracowni rysunku. Od 15 lat związany z POLITYKĄ. (DĄB.)

KOMENTARZ

Z prądem i pod prąd



Adam Grzeszak

Europejski Kongres Gospodarczy w Katowicach to największe w Polsce spotkanie przedstawicieli biznesu. Już od dziesięciu lat kilka tysięcy polskich i zagranicznych przedsiębiorców, menedżerów, naukowców, ekspertów, polityków, urzędników i samorządowców spotyka się, żeby przez trzy dni dyskutować o sprawach najważniejszych dla krajowej i europejskiej gospodarki.

Obecna władza ma z EKG spory problem. Powodem jest nie tylko fakt, że impreza, której inicjatorem i szefem rady programowej jest były premier Jerzy Buzek,

postrzegana jest jako „nie nasza”, ale także dlatego, że PiS traktuje gospodarkę jako teren do podbicia i skolonizowania, a nie jako obszar dyskusji i konsultacji. Dlatego przedstawiciele rządu niechętnie przyjmują zaproszenie do Katowic, nie widzą powodu, dla którego mieliby tłumaczyć się ze swych planów i działań. Czują, że na entuzjazm nie ma co liczyć. Podobnie nowy zaciąg menedżerów państwowych spółek nie garnie się do udziału w kongresowych panelach dyskusyjnych. Zwykle pochodzi z politycznego nadania i boi narażenia na śmieszność. Bezpiecznie nie zabierać głosu, a jeśli już, to mętnie i na okrągło, żeby nie było się do czego przyczepić. Atmosfera tegorocznego EKG podszyta była strachem.

Tylko wicepremier Mateusz Morawiecki oraz minister energii Krzysztof Tchórzewski uznali katowicki kongres za dobre miejsce do autopromocji. Morawiecki i jego ludzie mówili o skoku, jaki wykona polska gospodarka za sprawą „Strategii na rzecz

odpowiedzialnego rozwoju”, a minister Tchórzewski i jego wiceministrowie o polskiej rewolucji energetycznej. Czyli: węgiel, węgiel i jeszcze raz węgiel. I energetyka jako państwowy monopol.

W efekcie uczestnicy kongresu raz przenosili się do przyszłości, w której Polska idzie z prądem technologicznej rewolucji: podbijamy świat naszymi samochodami elektrycznymi, dronami i przemysłem kosmicznym. W chwilę później zmięli pod prąd, cofając się do XIX w. i słuchając, że węgiel to fundament, a nowoczesne technologie energetyki odnawialnej to zawracanie głowy. Tchórzewski wyjaśniał, że globalne ocieplenie to mit, a CO₂, z którym Unia walczy, to gaz niezbędny drzewom do życia. A ponieważ mamy dużo lasów, to potrzebujemy dużo CO₂. Słuchający tego Maroś Śefcovič, unijny komisarz ds. unii energetycznej, nie krył zdumienia. W przeciwieństwie do polskich słuchaczy, którzy nie takie absurdalności z ust ministra już słyszeli.

KOMENTARZ

Jak policja zwalcza białe róże



Piotr Pytlakowski

Od kilku miesięcy policja przyjęła ostry kurs dotyczący osób manifestujących sprzeciw wobec poczynañ władzy. Przesłuchiwanym jest ponad sto osób demonstrujących przed Sejmem w nocy z 16 na 17 grudnia 2016 r. Części z nich stawiane są zarzuty o stosowanie przemocy (Kodeks karny) i tamowanie ruchu na drodze publicznej (Kodeks wykroczeń). Wzywane są na komisarjaty osoby, które wchodziły na dziedziniec Sejmu i tam rozwijały banery oraz flagi państwowe. Stoją teraz pod zarzutem naruszenia miru domowego marszałka Sejmu. W Krakowie przesłuchiwanym są uczestnicy organizowanych każdego 18 dnia miesiąca demonstracji przeciwko Jarosławowi Kaczyńskiemu jadącemu na Wawel, na grób brata i bratowej, w otoczeniu dostojników państwowych.

Warszawie retorsje uderzają głównie w środowiska związane z nieformalnym ruchem Obywatele RP i stowarzyszenia Obywatele Solidarnie w Akcji (OSA). Arkadiusz Szczurek, który był organizatorem legalnej pikiety OSA 10 kwietnia 2017 r. podczas obchodów siódmej rocznicy katastrofy smoleńskiej, został przesłuchany na razie w charakterze świadka w sprawie „złośliwego przeszkadzania publicznemu wykonywaniu aktu religijnego”. Chodziło o okrzyki „kłamca, kłamca” kierowane do przemawiającego Jarosława Kaczyńskiego. W ten sposób polityczne przemówienia prezesa PiS wygłaszane co miesiąc przed Pałacem Prezydenckim zostały nazwane aktem religijnym.

Kilkadziesiąt osób, głównie uczestników ruchu Obywatele RP i ruchów antyfaszystowskich, wylegitymowano i spisano po nieudanej próbie blokady marszu narodowców z ONR 29 kwietnia 2017 r. Usłyszali zagrożony karą 14 dni aresztu lub grzywny zarzut przeszkadzania w legalnym zgromadzeniu.

10 maja odbyła się 85. tzw. miesięcznica smoleńska, ale po raz pierwszy pod rządami znowelizowanej ustawy o zgromadzeniach. Dostała status mającego pierwszeństwo zgromadzenia cyklicznego i wyłączność na wieczorowanie na Krakowskim Przedmieściu. Obywatele RP, członkowie KOD Mazowsze oraz grupy mieszkańców Warszawy mimo zakazu pojawili się w pobliżu Pałacu Prezydenckiego i aktywnie wyrażali sprzeciw wobec poczynañ Kaczyńskie-

go. Domagali się też wolności zgromadzeń. W dłoniach trzymali białe róże. Właśnie te róże były dla policji wskazówką, kogo wyciągać z tłumy. Policjanci nakładali mandaty w wys. 500 zł, a w przypadku ich nieprzyjęcia informowali o skierowaniu sprawy do sądu. Ponad 10 osób zatrzymano i przewieziono do komisarjatów. Trafiła tam pani za to, że w bazylice po mszy, w której uczestniczył prezes PiS, rozwinięła baner z napisem: „Jarosławie Kaczyński, nie łam Konstytucji”. Zatrzymano też Dariusza Krasia pod zarzutem uderzenia w twarz Adama Borowskiego, szefa warszawskiego Klubu Gazety Polskiej. Kraś nie przyznał się, a osoby, które były blisko zdarzenia, potwierdzają jego wersję. Prawie dośpędził w policyjnej izbie zatrzymania Tadeusz Jakrzewski z ruchu Obywatele RP. Początkowo zarzucono mu uderzenie policjanta, potem zmieniono kwalifikację na słowne obrażenie funkcjonariusza.

Wsumie objętych retorsjami jest przynajmniej kilkaset osób, które aktywnie sprzeciwiają się poczynaniom PiS, a policja wciąż zaostrza kurs. Majową miesięcznicę ochraniało ok. 3 tys. policjantów. Jest prawdopodobne, że w czerwcu podczas następnej miesięcznicy będzie ich jeszcze więcej. Istnieje obawa, że tym razem dostaną rozkaz użycia pałek i gazu pieprzowego wobec protestujących, a to już będzie jasny sygnał, że wracamy do realiów z PRL.

KOMENTARZ

Narodowy Instytut Narodowy



Bartek Chaciński

Pojawiła się ostateczna data połączenia dwóch publicznych – przez obecnego ministra kultury nazywanych wciąż „państwowymi” – instytucji kultury: Narodowego Instytutu Audiowizualnego i FilMOTEKI Narodowej. Nowy organizm powstały z tej politycznie zaplanowanej fuzji narodzi się dokładnie na Dzień Dziecka, czyli 1 czerwca. Taka data mobilizuje do nadawania nowych imion, a ja mam pomysł zupełnie nowej nazwy tej superinstytucji i chciałbym, by wicepremier Piotr Gliński ją rozważył: Narodowy Instytut Narodowy.

Korzyści z tak sformułowanej nazwy wydają się oczywiste. Po pierwsze, zgrabnie łączy obie dotychczasowe. Wszak NInA akcent

narodowy ma zaraz na początku, a FilMOTEKA – na końcu. Po drugie, nowa nazwa ucięłaby wszelkie dywagacje, czym właściwie ta nowa instytucja będzie się zajmować i czy więcej będzie w niej analogowej wizji bliskiej FilMOTECE Narodowej dokumentującej dorobek polskiej kinematografii, czy jednak wizji cyfrowej, w myśl której NInA tworzyła łatwe do przeszukiwania i ogólnodostępne archiwum cyfrowe obejmujące różne dziedziny kultury na wzór francuskiego Institut national de l'audiovisuel (Ina).

Nie chcę z góry potępiać pomysłu tego połączenia, bo nie znamy – i do 1 czerwca pewnie nie poznamy – wizji tej nowej placówki, która połączy dwa duże zespoły i dwie siedziby. Nie chcę też z góry orzekać, że po tym połączeniu zespoły staną się mniejsze, a i liczba siedzib może stopniowo się zmieniać. W ogóle niczego nie będę sugerować, gdyż zrobili to już za mnie lepiej wtajemniczeni członkowie Rady Programowej Narodowego Instytutu Audiowizualnego, którzy w kwietniu wystosowali do ministerstwa list otwarty, pisząc: „Odrębne strategie zarządzania archiwum: cyfrowego w przypadku NInA i analogowego w przypadku FilMOTEKI nie będą ze sobą kompatybilne, co przyniesie szkodę dorobkowi audiowizualnemu kultury polskiej”.

Mocne słowa. Można jednak krytykę uciąć w zarodku, wskazując na konieczność wyższą, narodową. Bo skoro ten instytut zajmować się będzie kwestiami narodowymi, to po cóż dalej pytać? A co lepiej oddaje narodowy charakter podkreślony raz w nazwie instytucji? Podkreślenie go dwukrotnie. Ponieważ z badań naukowych wynika, że powtarzanie dobrze służy przyswajaniu treści, powtórzenie przymiotnika „narodowy” w nazwie nowej placówki na początku i na końcu sprawy, że zdecydowanie nie szybciej naród uzna ją za swoją. Ba, Polacy będą mieli świadomość, że – jak żadna inna – instytucja ta jest narodowa par excellence, od początku do końca.

Na koniec słowo o pojawiającej się już tu i ówdzie potencjalnej nazwie FilMOTEKA Narodowa – Instytut Audiowizualny. Po pierwsze, umniejsza ona znaczenie placówki, sugerując jakiś mniej istotny dział FilMOTEKI. Po drugie, będzie stwarzała dodatkowe problemy w odnieniu, a przede wszystkim skrótem nazwy (FNIA) nie da się posługiwać z taką naturalnością i łatwością jak w wypadku NInA. Skrócowa nazwa Narodowego Instytutu Narodowego to po prostu NInA, dzięki czemu śledzącym z wypiekami na twarzy procesy łączenia instytucji kultury Polakom można będzie zakomunikować, że tak naprawdę nic się nie stało.



Złe słowo „reforma”

Prezes PiS jak mało kto potrafi zmieniać znaczenia słów, narzucać narrację, zarażać swoją retoryką. Niepopularne „reformy”, wielu kojarzące się z dotkliwymi zmianami, przez długi czas chował za „dobrą zmianą”. Teraz jednak jego partia i podległy mu rząd przestali się kryć z tym, że „reformują” kraj. Tyle że robią to na swoją modłę, nie zważając na nic i dewastując przy tym życie publiczne.

Słowo „reforma” chyba już zawsze będzie się źle kojarzyło. Prezes PiS przez długi czas starał się go unikać. Kojarzyło się ono ze zniechęceniem przez niego III RP, a rządy wprowadzające reformy przegrywały wybory. Teraz jednak reformy weszły na stałe do narracji Prawa i Sprawiedliwości i są przedmiotem dumy obozu rządzącego. Czy ta zmiana zaszkodzi obecnemu rządowi?

Mowa pozwala kształtować rzeczywistość i przywoływać byty, a dobrze dobrane słowa wygrać wybory. Jednak niektóre wyrazy z czasem zaczynają nabierać nowych znaczeń i obrastać emocjami – pozytywnymi bądź też negatywnymi skojarzeniami. Najsłynniejsze reformy Balcerowicza przestawiły gospodarkę na nowe tory i zapoczątkowały udane polskie przemiany. Z czasem jednak wielu zaczęło się kojarzyć z bezrobociem, różnicami społecznymi lub biedą. Do dziś zresztą „reformy Balcerowicza” wywołują polityczne emocje, choć coraz mniej osób pamięta ich istotę.

Gdy oboz solidarnościowy utworzył rząd Jerzego Buzka, wprowadzono kolejną falę reform. Program Buzka opierał się na czterech reformach: emerytalnej, oświatowej, służby zdrowia i administracji, które były początkowo uważane przez społeczeństwo za niezbędne i pilne. Z czasem jednak obawy zaczęły rosnąć, bo reformy – poza samorządową – nie były dobrze przygotowane. Brakowało również informacji i dialogu. W konsekwencji wprowadzenie jednocześnie czterech dużych reform spowodowało, że samo pojęcie „reforma” znowu zaczęło budzić opór.

Dlatego po wygranych przez PiS w 2005 r. wyborach słowo to zastąpiono frazą „budowa IV RP”. Jej celem był nowy ład społeczny i instytucjonalny oraz rewolucja moralna. Niewiele z tego wyszło, ale powstało wrażenie rewolucyjnych zmian, nieprzewidywalności i chaosu. Społeczeństwo chciało spokoju, rozwoju i braku konfliktów.

Donald Tusk dobrze wyczuł te nastroje i mówił o modernizacji, wolności, budowaniu infrastruktury oraz samorządach. „Ciepła woda w kranie”, czyli polityka małych kroków, stała się symbolem rządów koalicji PO-PSL. Wiele osób sądzi jednak, że to trudna i fundamentalna reforma wieku emerytalnego przyczyniła się do przegranej.

Jarosław Kaczyński odrobił te wszystkie lekcje. W kampanii wyborczej PiS posługiwało się więc zręcznym hasłem „dobrej zmiany” i powtarzało, że zasadnicze zmiany są potrzebne, bo Platforma doprowadziła kraj do ruiny. Zapowiadano, że będą to tylko „dobre zmiany”, w odróżnieniu od źle kojarzących się „reform”.

Rządy PiS, polegające na politycznym podporządkowaniu wielu instytucji, szybko jednak obnażyły i ośmieszyły pojęcie „dobrej zmiany”. Degradacja Trybunału Konstytucyjnego, pacyfikacja mediów publicznych i służby cywilnej spowodowały, że pojęcie to stało się obiektem kpín i żartów. Przemieniło się w „dojną zmianę”, wyśmiewającą obsadzenie przez polityków PiS spółek Skarbu Państwa krewnymi i znajomymi.

Jednak wprowadzane przez obóz władzy zmiany trzeba było jakoś nazwać. I tak język polityków PiS wszedł w obłąk tej partii liberalną narrację. Przedmiotem dumy stały się reformy edukacji, prokuratury i sądów, mediów publicznych, reforma zdrowia czy przygotowywana od dwóch lat reforma szkolnictwa wyższego. Mówi o nich premier Beata Szydło i poszczególni ministrowie jej gabinetu, a Jarosław Kaczyński zachwala reformę sądownictwa i BOR. Opozycja natomiast wskazuje, że wiele z tych reform po prostu przywraca stan sprzed wielu lat i burzy to, co udało się dotąd kolejnym rządów zrobić. To nie reforma edukacji, ale deforma. Nie reforma prokuratury, ale podporządkowanie jej władzy politycznej!

Zamieszanie pojęciowe i polityczne pogłębia dodatkowo określanie przez PiS reform Platformy „odwracaniem szkodliwej pseudoreformy”. Tak właśnie nazywane było przywrócenie dawnego – podniesionego przez rząd PO-PSL – wieku emerytalnego. Pytanie tylko, dlaczego teraz dyskurs polityków PiS zaroził się „reformami”? Najprostsza odpowiedź to przekonanie ministrów, że reformowanie brzmi dumnie i ich zdaniem nie ma lepszego określenia dla tego, co planują i robią. W końcu każdy minister chce wykazać się wielkimi projektami, a Jarosław Kaczyński dał przyzwolenie, ponieważ już dawno jest po wyborach.

Czy jednak tyle budzących konfliktów reform nie odbije się negatywnie na poparciu PiS i nie doprowadzi do dużej przegranej w kolejnych wyborach? Może Jarosław Kaczyński stracił słuch społeczny bądź po prostu nie panuje nad udzielnymi księstwami ministrów? Sam świetnie dobiera słowa, nazywa i przeżywa, ale może zakłada, że obecnie „reformy” kojarzą się społeczeństwu na tyle dobrze, że powinno się wokół nich budować narrację? I że straciły już swoje, złe w niektórych grupach, konotacje z reformami Balcerowicza? Jedno jest pewne, twardy elektorat PiS będzie stał wiernie przy swojej partii, ufając prezesowi, bez względu na to, co robi i powie. I będzie zadowolony, że partia spełnia obietnice. A antyPiS i tak jest totalną opozycją. Ale twardy elektorat to nie wszystko. Ten bardziej labilny może zatęsknić za spokojem i „ciepłą wodą w kranie”.

Tyle że ponowne sięgnięcie przez PiS po słowo „reformy” i nazywanie w ten sposób każdej dewastującej życie publiczne zmiany stawia w trudnej sytuacji opozycję. Gdy dojdzie ona do władzy, będzie musiała rozpocząć budowę nowego popisowskiego państwa. I znaleźć odpowiednią dla tych działań narrację.

Lena Kolarska-Bobińska – socjolog, profesor nauk humanistycznych, była dyrektor CBOS oraz ISP. W latach 2009–13 posłanka do Parlamentu Europejskiego z ramienia PO, później minister nauki i szkolnictwa wyższego w rządzie Donalda Tuska, a następnie w gabinecie Ewy Kopacz. Członkini rady programowej Kongresu Kobiet oraz rady Instytutu Obywatelskiego. Autorka licznych publikacji naukowych.



Oś Zeman–Babisz

Demonstracja przeciwko prezydentowi Zemanowi i ministrowi finansów Babiszowi pod hasłem: „Dlaczego? Dlatego!”

Obronimy demokrację! Nie chcemy tu Trumpów, Kaczyńskich, Orbánów! – niosło się w ubiegłym tygodniu w centrach czeskich miast. W sumie kilkadziesiąt tysięcy ludzi – największe demonstracje od kilku lat – wyległo na place, aby zaprotestować przeciw rodzącemu się antydemokratycznemu sojuszowi dwóch najpotężniejszych polityków w kraju: prezydenta Milošza Zemana i lidera populistycznej partii ANO wicepremiera Andreja Babisza, zwanego „czeskim Berlusconiem”. Przed jesiennymi wyborami realna staje się groźba, że ta para może wprowadzić swoją wersję lokalnego autorytaryzmu. Zeman słynie od lat z umizgów do Putina, Babisz próbuje opanować kraj gospodarczo, wykupując m.in. prawie połowę czeskich mediów.

Właśnie o te media poszło demonstrantom. Babisz jest właścicielem stacji telewizyjnej i dwóch wielkich gazet. Publicznie zaklina się, że w działanie redakcji nie ingeruje. Tymczasem kilka dni temu anonimowy profil na Twitterze opublikował nagrania, na których Babisz z jednym z wpływowych dziennikarzy omawia przy kawie, w jakiej kolejności publikować kolejne materiały kompromitujące polityczną konkurencję. „To bym zostawił na jesień, przed samymi wyborami” – mówi na przykład o przygotowywanym w redakcji teście o niejasnościach wokół domu kupionego przez jednego z niechętnych mu polityków. W dodatku z kontekstu wynika, że aparatowi Babisza materiały na konkurentów dostarcza grupa tajników związanych z elitarnymi jednostkami policyjnymi do zwalczania mafii.

Sam Babisz sprawy komentować nie zamierza i w wywiadach ucieka w pustostawie. Jego dymisji zażądał natychmiast premier Bohuslav Sobotka, ale niespodziewanie po stronie wicepremiera stanął prezydent. Razem z Babiszem zaatakowali Sobotkę, którego przedstawiają swoim wyborcom jako oderwanego od życia jajogłowego. Doskonale pasuje to do ich wizji ciężko pracującego, oszczędnego, zwykłego Czecha, który jest notorycznie okradany i oszukiwany przez Brukselę i „praską kawiarnię”. Partia Babisza ma według sondaży poparcie rządu 30 proc. Socjaldemokracja premiera Sobotki – około 15 proc.

Islandia chce z euro

Powiązanie z euro ma nie dopuścić do przegrzania gospodarki wyspy.

Najsilniejszy sentyment do eurowaluty przejawia dziś w Europie Islandia. Minister gospodarki Benedikt Johannesson zapowiedział, że rozważa trwałe powiązanie islandzkiej korony z euro. Aby opanować fluktuację lokalnego pieniądza (który lubi skakać, bo kraj jest mały) i ułatwić handel zagraniczny, uwalniając go od ryzyka walutowego. Po kryzysie sprzed blisko dekady – i upadku trzech głównych banków – nie ma już śladu; przeciwnie – Islandczycy obawiają się dziś raczej przegrzania gospodarki. Sztynny kurs wobec euro też byłby tu narzędziem stabilizującym. W 2016 r. wzrost PKB na wyspie osiągnął 7,2 proc. (a jeszcze nie tak dawno był ujemny), inflacja – 1,7 proc., a bezrobocie – 3 proc. Czego chcieć więcej? A wszystko głównie dzięki turystom i nieprawdopodobnej modzie na Islandię. W tym roku licząc 330 tys. mieszkańców wyspę ma odwiedzić 2,3 mln cudzoziemców, 30 proc. więcej niż przed rokiem. Przemysł turystyczno-hotelowy przeżywa boom, a związek z euro ma być dodatkową kotwicą, aby zachował zdrowy rozsądek.

Kurczaki za wołowinę

Trump robi interesy z Chinami.

Wczasie kampanii wyborczej Donald Trump oskarżał Chiny, że manipulują swoją walutą i groził wprowadzeniem 40-proc. ceł na chińskie towary. Obawiano się, że wywoła wojnę handlową. Tymczasem oba kraje zawarły właśnie układ handlowy, w którym USA zezwoliły na import chińskich kurczaków i otwieranie u siebie chińskich banków, a Pekin otworzył swój rynek dla amerykańskich operatorów kart kredytowych i agencji ratingowych oraz zniósł zakaz importu amerykańskiej wołowiny. Waszyngton z dumą ogłosił, że porozumienie przyczyni się do zmniejszenia deficytu w wymianie z Chinami już do końca tego roku.

Układ nie ma przełomowego znaczenia, choć trudno nie przyznać, że twarda retoryka Trumpa z kampanii, zapożyczona z jego biznesowych doświadczeń, w negocjacjach handlowych okazuje się skuteczna. Najważniejszy jednak jest sygnał polityczny



– oto od **spotkania z Xi Jinpingiem na Florydzie** na początku kwietnia Trump odszedł od konfrontacyjnego kursu wobec Państwa Środka. Zależy mu bowiem na współpracy z Xi w pohańczeniu nuklearnych planów Korei Północnej, a poprawę stosunków z Pekinem traktuje też jako ostrzeżenie pod adresem Rosji. Ustępstwa Chin, z kolei, wydają się, zdaniem ekspertów, gestem mającym pomóc Trumpowi, pogrążonemu w tarapatkach w związku ze śledztwem w sprawie jego rosyjskich kontaktów. Nic dziwnego – mimo różnic temperamentów obecni przywódcy USA i Chin, którzy stosunki między państwami traktują jedynie w kategoriach transakcyjnej Realpolitik, to w istocie ideowi krewniacy.

Pudrowanie nie popłaca

ONZ krytykuje stan praw człowieka w Polsce.

Programem Rodzina 500 Plus, o którym przedstawiciele polskiego rządu opowiadali ostatnio w Genewie, nie udało się przykryć wszystkich niedociągnięć, jakie państwa członkowskie ONZ wypunktowały Polsce podczas niedawnego Przeglądu Praw Człowieka. Procedurę sprawdzającą, raz na cztery lata, przechodzą wszystkie kraje członkowskie ONZ. Podstawą do oceny kraju jest raport przygotowany przez rząd. Powszechnie wiadomo, że rządy zawsze trochę przypudrowują rzeczywistość, więc członkowie oenzetowskiej Rady dopuszczają do głosu również organizacje pozarządowe i pozwalają im przedstawić swoją ocenę. Nikogo w Radzie też nie dziwi różnica pomiędzy przedstawianymi dokumentami.

Tym razem jednak zaskoczyła kompletna dysharmonia raportów. Bo o ile przedstawiciele organizacji pozarządowych mieli mnóstwo wątpliwości, to z rządowego dokumentu wynika, że z prawami człowieka w Polsce problemu nie mamy żadnego. Tyle że rząd nie zająknął się ani słowem np. o nieopublikowanych wyrokach Trybunału Konstytucyjnego, a ratyfikację konwencji antyprzemocowej, którą się chwali, podpisała poprzednia ekipa. Z wolnością wypowiedzi, szerzeniem mowy nienawiści, ochroną mniejszości seksualnych, dostępem do aborcji i prawem azylowym według rządu Polska też nie ma problemów. Zebraliśmy cięgi nie tylko ze strony krajów europejskich, ale również, czego pewnie rząd PiS się nie spodziewał, ze strony USA. A Rada Praw Człowieka ONZ, obok Komisji Weneckiej i Komisji Europejskiej, jest kolejną międzynarodową organizacją, która nie daje się nabrać na przypudrowaną wersję rzeczywistości.



Minister obrony Ursula von der Leyen pod ostrzałem dziennikarzy po ujawnieniu neonazistów w niemieckich siłach zbrojnych

Neonazi w Bundeswehrze

Niemiecka armia i rząd federalny mają poważny problem z neonazizmem wśród wojskowych. Sprawa wyszła na jaw, gdy w jednej z toalet na lotnisku wiedeńskim znaleziono pistolet, który, jak się okazało, został tam ukryty przez podoficera Bundeswehry w obawie przed kontrolą. Namierzonego żołnierza aresztowano. Zatrzymano także jego współnika, z tej samej bazy wojskowej przy granicy z Francją, i współpracującego z nimi studenta. Mieli szykować zamachy na ważnych polityków niemieckich, pozorując je na ataki islamistów udających uchodźców. Właściciel ukrytego pistoletu podszedł pod imigranta starającego się o azyl w Niemczech. Podczas przeszukań policyjnych znaleziono w mieszkaniach prywatnych i na terenie koszar wykradaną wojsku amunicję i nazistowskie memorabilia.

Choć nie ma dowodów, że Bundeswehra jest przytuliskiem dla neonazistów, to jednak obecna minister obrony Ursula von der Leyen daje do zrozumienia, że armia nie przykłada się dostatecznie do walki z neonazizmem w jej szeregach. Dowódcy nie są przygani zachwyceni, napięcie rośnie. Niemieckie ministerstwo obrony poinformowało w kwietniu, że wywiad wojskowy MAD prowadzi dochodzenia dotyczące 275 żołnierzy podejrzanych o działalność „skrajnie prawicową”, czyli neonazistowską. Na domiar złego, jednym z nich jest Hendrik Rottmann, agent MAD i radny z ramienia antyimigranckiej partii AfD. W mediach społecznościowych cytował hitlerowski slogan zakazany w demokratycznej republice federalnej.

Fotel z kozetką

Jeżeli któregoś dnia Bóg zadecyduje, że Mugabe ma umrzeć, to w następnych wyborach wystawimy jego trupa! – tak żona prezydenta Zimbabwe w lutym komentowała doniesienia o jego słabym stanie zdrowia. Niewykluczone, że przed przyszłorocznym głosowaniem przyjdzie sprawdzić jej determinację, bo **93-letni Robert Mugabe**, najstarszy przywódca Afryki, właśnie wziął zwolnienie i poleciał do ekskluzywnego szpitala w Singapurze, gdzie od kilku lat bywa stałym gościem. Według plotek zmaga się z przerzutami raka prostaty, ale jego otoczenie nie potwierdza tych informacji i oficjalnie utrzymuje stan jego zdrowia w tajemnicy. Hospitalizacja prezydenta



wywołała więc ożywioną dyskusję internautów... tyle że w Nigerii. Tamtejszy przywódca Muhammadu Buhari ostatnio także spędza czas głównie w zagranicznych klinikach (londyńskich), choć jego administracja odmawia komentarza na temat chorób trapiących głowę państwa.

Afryka w ogóle nie ma ostatnio szczęścia do zdrowia swoich przywódców. W zeszłym roku w ciężkim stanie do zagranicznych szpitali trafili m.in. Paul Biya z Kamerunu i Peter Mutharika z Malawi. Brat tego ostatniego w 2012 r. zmarł zresztą, pełniąc obowiązki prezydenta, dwa lata później jego los podzielił Michael Sata z Zambii (który kilkanaście tygodni przed zgonem zapewniał rodaków, że „czuje się wysmienicie”).

Chcą pić i nie mieć kaca

Rozmowa z **Bernardem-Henri Lévyem**, francuskim filozofem i pisarzem, o tym, że demokracja jeszcze się broni i że Kaczyński, Orbán i Trump ostrzegali Francuzów przed wyborem populistów



JACEK ŻAKOWSKI: – **Czy to już koniec „następnej dziwnej katastrofy Francji”, o której pan pisał, nim Macron został prezydentem?**

BERNARD-HENRI LÉVY: – Nie koniec. Chwila ulgi.

Ulgi od?

Od rosnącego trendu populistycznego. Macron zatrzymał marsz populistów do władzy. Ale populistyczna fala nie znikła.

Fala czego?

Demokracji. Tak jak w Polsce, na Węgrzech, w Serbii, w Ameryce. Wielu Francuzów, podobnie jak inni, od demokracji woli władzę mającą tylko pozory demokracji.

Czyli?

Chcą demokracji, ale bez wolności. Chcą korzystać z tego, co w demokracji przyjemne, ale nie chcą dźwigać tego, co w demokracji trudne. Chcą decydować, ale nie chcą ryzykować. Chcą mieć czysto, ale nie godzą się rezygnować z wyrzucania śmieci, gdzie komu wygodnie.

Pić i nie mieć kaca?

Od wielkich banków po przedmieścia Marsylii, wszędzie jest takie oczekiwanie.

Skąd ono się wzięło?

To nie jest nic nowego. Od antycznej Grecji i starożytnego Rzymu taki jest trend wszystkich demokracji. Demokracja to szansa, z której społeczeństwa zwykle tym mniej korzystają, im dłużej ją mają i im słabiej pamiętają, dlaczego ją wybrały. Albert Camus powiedział, że społeczeństwa chcą być wyzwalone od ciężarów obaw – decydowania, wybierania, niepewnych skutków swoich własnych decyzji.

Spółeczeństwa żądają wolności – prawa do decydowania i dokonywania wyboru. Od powstania Spartakusa i rewolucji francuskiej po strajk w Stoczni Gdańskiej i arabską wiosnę to był zawsze kluczowy postulat.

Najpierw żądają, a potem chcą być wyzwolone.

I musi przyjść Cezar, Napoleon, Jaruzelski, Kaczyński albo Trump... Coś mi to za prosto wygląda.

Nie jestem fatalistą.

Bo nie musi tak być?

Nie musi, ale jest. Chociaż nie jest tak samo. Ludzie historycznie uczą się cenić wolność. Ile lat przetrwała polska demokracja między pierwszą a drugą wojną?

Siedem, licząc od pierwszych wyborów do zamachu stanu.

A teraz demokracja wypiera demokrację po przeszło ćwierć wieku. I nie jest pewne, że wygra. Trend się powtarza, ale jednak inaczej. Wiele społeczeństw znów próbuje testować demokrację bez ciężarów wolności. I szybko zauważają, że to się nie daje zrobić. Francuzi tak gremialnie poparli Macrona m.in. dlatego, że zobaczyli, co się stało w Polsce czy Ameryce.

Kaczyński uratował Francję?

Orbán, Kaczyński, Trump... Nie wszystko im zawdzięczamy, ale mieli wpływ. Przygody innych przypominały nam własne doświadczenia i część ludzi zdążyła się ocknąć. A Macron dał szansę podjęcia dobrej decyzji.

Wygrał nie tylko z populistami, ale też z establishmentem rządzącym Francją od wojny.

Wygrał, bo wziął od populistów część ich radykalnego programu. Pokonał Le Pen jej bronią. Z establishmentem nawet nie musiał walczyć, bo on stał się we Francji słabszy niż kiedykolwiek. W większości zachodnich demokracji establishment jest teraz raczej problemem niż szansą na rozwiązanie.

© REX/EAST NEWS

A co jest rozwiązaniem?

We Francji Macron jest rozwiązaniem, bo jest radykalnie antysystemowy. Inaczej niż populiści, ale wyraźnie. Jest przeciw partiom, przeciw kontynuacji, za wielką odnową. Bez tego by nie wygrał.

Co wygrał poza urzędem?

Możliwość budowania nowej polityki na szkieletcie demokratycznych i wolnościowych wartości. Zaoferował smakowite populistyczne zakąski w zdrowym demokratycznym menu.

To oznacza popularyzację politycznego centrum czy zdrowy objaw działania demokratycznego rynku politycznych idei i programów?

To jest znak, że przekonująca i skuteczna odpowiedź na oczekiwania i niepokoje społeczne może paść nie tylko ze strony populistów i nie musi być dla demokracji niszcząca. Z takich kryzysów nigdy się nie wychodzi, udając, że ich nie ma i wszystko jest w porządku.

Skąd się wziął ten kryzys? Prawica uważa, że wszystko by było w porządku, gdyby nie uchodźcy zaproszeni przez Angelę Merkel.

Niemcy przyjęli najwięcej uchodźców i nie mają problemów z populizmem. Wybory rozegrają się między Merkel a Schulzem, czyli między dwoma od dawna znanymi politykami dwóch od dawna kluczowych partii. Francja przyjęła dużo mniej uchodźców i ma z populistami bardzo duży problem. A największy problem ma Polska, która w ogóle nie przyjęła uchodźców.

Czyli to nie uchodźcy są źródłem populizmu, tylko łatwość, z jaką można nimi jakieś społeczeństwo nastraszyć?

To jest empirycznie sprawdzalne. We Włoszech ani w Grecji, gdzie lądowały miliony uchodźców, populizm nie jest dziś większym problemem, niż zanim ta fala ruszyła.

No to kto jest winien? Neoliberalowie?

Czyli rosnąca konkurencja i niepewność egzystencji? W jakimś stopniu tak. Ale to jest długofalowy cywilizacyjny proces. Każdy kraj próbuje sobie z nim po swojemu radzić. Każdy kraj ma inne uwarunkowania, ale wygląda na to, że Niemcy znaleźli najlepszą odpowiedź.

Bo?

Może dlatego, że najlepiej przepracowali przeszłość? W Polsce widać teraz, że po 90 latach życia bez demokracji nie zdążyliście jej przez ćwierć wieku solidnie zbudować i wracają antydemokratyczne nurty waszej historii. A we Francji przetrwała tradycja fašyzmu i radykalnej prawicy, sięgająca końca XIX w. i lat 30. XX w.

Potem był OAS – rasistowski, antydekolonizacyjny i antygaullistowski.

To nigdy nie znikło. Każdy większy kryzys sprawia, że ta tradycja wraca i próbuje się rehabilitować.

Zombie, które się żywi każdym narodowym nieszczęściem, jak polski nacjonalizm endecji i autorytaryzm sanacji albo amerykański rasizm?

Dopóki się takich tradycji dobrze nie przepracuje, w sprzyjających warunkach ktoś może je obudzić. A takie sprzyjające warunki nieuchronnie od czasu do czasu się zdarzają.

Kto budzi te nasze zombie?

Prawie w każdym przypadku widać rękę Putina. We Francji finansował kampanię Le Pen. W Ameryce jego hakerzy zabrali zwycięstwo Clinton. Na Węgrzech Orbán jest jawną marionetką Putina. Polska nie może być wyjątkiem. Putin nigdy wam nie wybaczył, że Jan Paweł II i ludzie Solidarności – Wałęsa, Kuroń, Geremek – rozwalili imperium sowieckie. Mieście się na baczności, moi drodzy polscy przyjaciele.

Boję się popaść w paranoję.

To są fakty, a nie paranoja. Putin istnieje. Jego wpływy istnieją naprawdę. Nie ma powodu sądzić, że was to nie dotyczy. Miał 20 lat, żeby zbudować w Polsce swoje wpływy.

I także w Polsce zostawił wiele śladów, np. wokół potężnego ministra obrony. Poszlaki są silne, chociaż twardych dowodów nie mamy. Ale czy nie dziwi pana, że cały wielki Zachód – ze swoimi monstrualnymi służbami, mediami, genialnymi mózgami, gigantycznymi pieniędzmi – jest taki bezradny wobec chorych ambicji przywódcy jednego zacofanego kraju? Byliśmy też bezradni wobec sowieckich poprzedników Putina.

Breżniew nie był w stanie narzucić Ameryce swojego prezydenta.

Ale sowiecka Rosja od wojny skutecznie wspierała potężne partie w zachodniej Europie.

A carska Rosja jeszcze skuteczniej w Polsce.

Może na Zachodzie Putin stał się bardziej skuteczny niż Breżniew, bo zamiast radykalnej lewicy wspiera radykalną prawicę, a to jest sprzeczne z powszechnym oczekiwaniem. On działa bardziej inteligentnie, a demokracja jest teraz w słabszej fazie. Od lat 30. XX w. demokracje nie były w Europie Zachodniej tak słabe jak ostatnio. A w Ameryce demokracja jest dużo słabsza niż wtedy. Bo społeczne więzi erodują, bo skoncentrowaliśmy się na strachu przed terroryzmem, bo słabnie spójność społeczna...

Skoro demokracja jest słabsza, a jej wrogowie silniejsi, to ku czemu zmierzamy?

Demokracja jest słaba z natury. Bardzo trudno jest być demokratą.

Bo demokracja nie jest naturalna i poza częścią ludzi żadne ssaki jej nie praktykują?

To jest skomplikowany, intelektualnie zaawansowany, kulturowo wymagający konstrukt. Demokracja wymaga permanentnego uczenia demokratycznych postaw, budowania demokratycznych sumień, tłumaczenia wszystkich złożoności demokratycznych systemów, wymagających stałego podtrzymywania i weryfikowania wszelkich naszych decyzji pytaniem: czy to nie zaszkodzi naszej demokracji? Jeżeli chce się utrzymać demokrację, trzeba rezygnować z wielu innych wartości. W dłuższym okresie większości naszych wartości demokracja służy. Ale na co dzień wiele problemów łatwiej jest rozwiązać kosztem demokracji. Zwłaszcza kosztem jej przyszłości.

Na przykład wzrost gospodarczy, który przez jakiś czas może być trochę większy, gdy nie dba się o spójność społeczną?

A bezpieczeństwo szybciej można poprawić, ograniczając swobody. Takie kompromisy kosztem demokracji mogą być w jakichś sytuacjach konieczne, ale częściej tylko wydają się konieczne, a naprawdę są po prostu łatwiejsze. Zawieraliśmy takie złe kompromisy i teraz za to płacimy. Wzmocnieniem nacjonalizmów, prostych przynależności, opierania tożsamości na biologicznych korzeniach. Mamy eksplozję takich łatwych wspólnot.

Animalizację zachodnich społeczeństw?

Uproszczenie, prymitywizację. Proszę spojrzeć na Niemcy, które najlepiej radzą sobie z tą falą. Nawet tam ścierają się dwa nurty – nurt Habermasa i nurt de Maizièrè'a. Habermas broni patriotyzmu konstytucyjnego. Jego zdaniem Niemcem może być ten, kto respektuje zasady niemieckiej konstytucji. De Maizièrè uważa, że to jeszcze za mało, bo trzeba też wyznawać niemieckie wartości, obyczaje i sposób życia.

A co z muzułmanami?

Islam się w takim ujęciu niemieckości nie mieści. W Niemczech to jest wielka debata.

Macron robi krok w tę stronę, proponując szkolenie liderów religijnych.

To jest sposób na budowanie wspólnoty mimo istniejących różnic. Nie na uznawanie różnic za kryterium dzielące „swoich” od „obcych”. Macron broni inkluzywnej tradycji demokratycznej. De Maizièrè wybiera falę demokracji wykluczającej. ►